

V-0100/4

# TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



**№ 108.**

*Prenumerata w Warszawie:*  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 19 października 1861 r.

*Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:*  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

**TOM IV.**

## TREŚĆ NUMERU.

Zwaliska zamku w Mokrzku, (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Wycieczka do Gdańska przez Deotymę (z dwoma drzeworytami) ciąg dalszy. — Kto winien komedia w dwóch aktach. — Rozmaitości. — Kościół po-franciszkański w Piotrkowie (z drzeworytem). — Szachy i Rebus.

### ZWALISKA ZAMKU W MOKRZKU.

Nad roskoszniemi brzegami rzeki Nidy, po prawej stronie, niemal naprzeciwko miasta Sobkowa,

w powiecie kieleckim, leży wieś prywatna Mokrzko. W tej wsi znany w dziejach naszych możnowładca Piotr Kmita wojewoda krakowski, wystawił w połowie XVI wieku mały zameczek w stylu włoskim, w którym przemieszkiwał niekiedy, a to z powodu blizkich z królową Boną stosunków, która, jako wdowa po królu Zygmuncie I, zamek chęciński miała sobie oddany.

Późniejsze losy tej budowli nie są znane, z pozostałych jednakże murów widać, że w końcu przeszłego wieku jeszcze mieszkalną być mogła. Mury te albowiem dochowały się w całości, oprócz dachów i sklepień, oraz tego

wszystkiego, co z drzewa lub żelaza mogło być wyrobione. Zamek ten składał się z dwóch części, jak się zdaje nie jednocześnie stawianych; jedna z nich na dwa, druga na trzy piętra była zbudowana. Nad bramą wjazdową miał wieżę z przodu płaską, z tylnej strony okrągłą. Budowany był z białego kamienia na wapno,

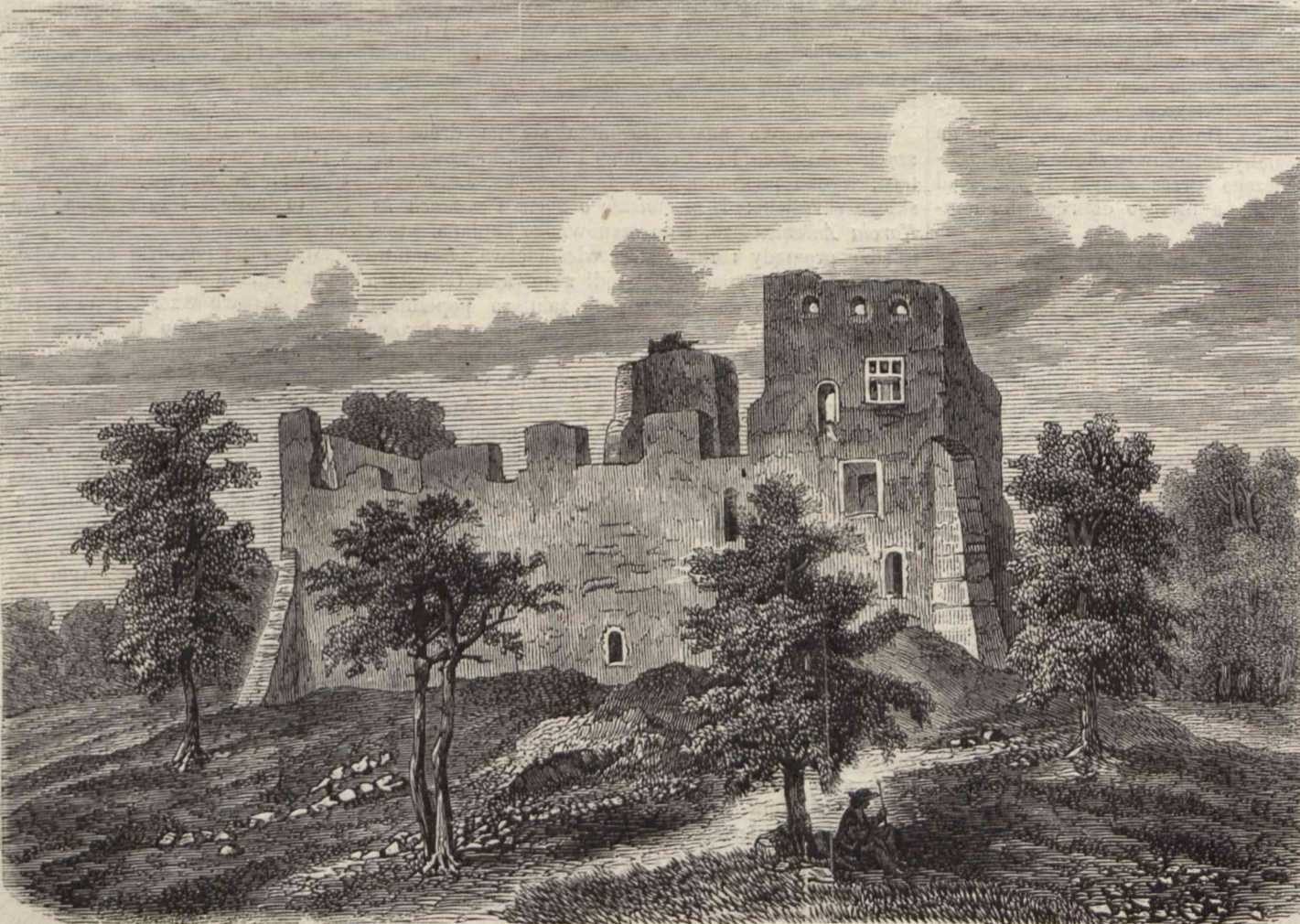
z ciosowemi węglami i futrami od okien, obłany wodą i wielkimi drzewami obsadzony. Zwaliska tego zameczku, wśród pysznego ale zaniedbanego ogrodu sterczące, mogłyby być ozdobą okolicy, gdyby nie nizkość położenia, które sprawia, że nie zawsze pieszo do nich dostąpić można. Ze szczytu atoli ruin odkrywa się śliczny widok, mianowicie na blizkie miasteczko Sobków, gniazdo zamożnej niegdyś rodziny Sobków z Sulejowa, i na zamek tamże istniejący, małemi basztami opatrzony, który dotąd jest mieszkalnym.

wozdaniu zapuszczać się w przyczynę utrudniającą jej szybkie przeprowadzenie; wiele dzieł, broszur i artykułów było pisanych w tej kwestyi przez ludzi kompetentnych; my jako sprawozdawcy notujemy tu tylko fakta dokonane i dzielimy się niemi z naszymi czytelnikami.

Jednym z pięknych ustępów do tej żywotnej kwestyi należących, jest oczyszczanie przeprowadzone w roku ubiegłym w dobrach Krysk, w powiecie płockim, w pobliżu Zakroczymia, przez właściciela tychże

dóbr, pana Leona Kozłowskiego. Rozkolonizował on włościan w dwóch koloniach, założonych nowo po obu stronach głównego swego folwarku, wyznaczył im ilość gruntów odpowiednią do ich dobroci i czynsz z morgi w tymże stosunku z zadowoleniem włościan podał.

Domy mieszkalne i budynki gospodarskie włościanie powystawiali z wyznaczonego im drzewa z lasów właściciela, obszerne, wygodne, a nawet z pewną elegancją, w tych stronach nieznaną. Nadto właściciel położył warunek w umowie z oczyszczowanymi, iż każdy z nich z płaciwszy w którymkolwiek roku złp.



ZWALISKA ZAMKU W MOKRZKU. (Rysował na drzewie Lewicki).

### Kronika tygodniowa.

Sprawa oczyszczowania postępuje wolno, ale zawsze jednak postępuje. Nie miejsce tu w pobieżnym spr-

sto, w następnym o złp. pięć mniej czynszu płacić będzie. Tym więc sposobem włościanie mają otwartą drogę do skupu cząstkowego posiadanego prawem czynszowóm gruntu, co bardzo łatwo nastąpić może, gdyż włościanie z całą usilnością wzięli się do uprawy swych pól, a nawet widać pomiędzy niemi pe-

wien postępowanie w gospodarowaniu, co się pomiędzy naszymi wieśniakami nader rzadko praktykuje.

Urządzając dwie kolonie i mając główny folwark, w którym służba potrzebna do obrobienia gruntów dworskich zamieszkuje, mógłby szanowny właściciel i trzy szynki zaprowadzić; lecz i w tym względzie widać jego dążność poczciwą, gdyż pozostawił tylko oddawna istniejący dom zajezdny przy trakcie, dla wygody podróży.

Aby zaś włościanie żwolnieli z robót przymusowych, a więc będący na drodze do zamożności materialnej, nie zapominali o potrzebach umysłowych swój dziatwy, właściciel założył ochronkę, przy której utrzymuje nauczyciela stalego, przez siebie opłacanego, a dzieci włościańskie mogą tam pobierać elementarne nauki. Mamy nadzieję że i czcigodny pleban tameczny swego światła w niesieniu moralności i nauki maluczkiemu nie odmówi.

Daruje nam szanowny właściciel, iż poważylismy się nazwisko jego w piśmie publicznym wymienić. Uczynilismy to dlatego, że oczynszowanie jego włości nie było przeprowadzonem na zasadach z małym wyjątkiem powszechnie praktykowanych i przedstawiało widoczną dążność do polepszenia materialnego i moralnego włościan; każdy zaś czyn poczciwy, przyczyniający się do podniesienia pomyślności choćby najmniejszego zakątka kraju, mogący służyć innym za przykład, skwapliwie chwytamy, pragnąc jego rozgłosu.

Wiemy że właściciel dóbr Krysk poniósł niemałe ofiary, ale za to zyskał sobie miłość włościan i wdzięczność publiczną. Obyśmy więcej podobnych czynów notować mogli.

Za to znów z innych a odległych stron smutne nas wieści dochodzą. Nie wymieniamy ich, bo radzi rzucamy zasłonę tam, gdzie jest nadzieja że upamiętanie nastąpi. Otóż w pewnym miejscu zgromadzili się obywatele na sejmik, dla uzupełnienia liczby sędziów powiatowych. Przez cztery dni radzono o tém tylko. Pomiedzy osobami zebranymi było dość takich, którzy czuli żywo potrzebę uczynienia czegoś dla poprawienia moralnego stanu włościan i szerzenia wśród nich elementarnych nauk; gdy się jednakże za tém odezwali, okrzyczano ich za egzaltowanych, znających życie tylko z książek, a jeden z obecnych odezwał się: „Nie o tém teraz myśleć, kiedy nam zagraża zmniejszenie dochodów, a może nawet zupełna ich utrata, z powodu niemożności dostania rąk do pracy, w skutku zniesienia pańszczyzny.“

Z przykrością powtarzamy te słowa, dowodzące zupełnej nieznajomości sprawy najżywotniejszej niemal ze wszystkich; z przykrością widzimy, że nauka w las idzie, że przekonanie do czego to prowadzi ciemnota i zbydlęcenie ludu wiejskiego, nie wszystkich nauczyło, jak uniknąć złego. Do tych ludzi obojętnych na swą przyszłość, możnaby zastosować znane zdanie znakomitego męża: „Niczego przez długie lata z wad swoich nie zapomnieli, a niczego dobrego nie nauczyli się.“

Słowa na owem zgromadzeniu wyrzeczone, znaczą to samo co: Niechaj chłop brnie w ciemności, lenistwie i pijaństwie, żeby tylko nie upadły intraty. Czyż podobna aby takie zdanie głosić dziś jeszcze można, bez ściągnięcia na siebie pogardy wszystkich ludzi poczciwych? Mamy jednak nadzieję iż światlejsi tych stron obywatele wpłyną na zdanie swych współpraców, pogrążonych w zastarzałych wyobrażeniach, które stanowczo już świat cały potępił.

Przy oczynszowaniu i przekształcaniu stosunków włościańskich spodziewały się należało, że na zawsze upadnie idea ciągnięcia zysków z rozpajania ludności wiejskiej. Bez szynków i karczem zapewne nie obejdzie się, a przynajmniej nie prędko jeszcze ludność wiejska od przepęczania w nich części tygodnia i marnowania drogiego czasu, z własną i najmujących robociznę szkoda, odwyknie; ale należałoby aby stojący na czele gospodarstw folwarcznych wynaleźli inne, intratne również gałęzie przemysłu wiejskiego, któreby zrównoważyły straty wyniknąć mogące ze zmniejszenia się dochodów propinacyjnych. Bo i cóż właścicielowi z tego przyjdzie, jeżeli dokoła zamieszkuje włościanie rozpojeni gorzałką? Napój ten podnieca próżniactwo i zuchwałość; gdzie włościanie piją, trudno tam o ręce pracowite; ziarno dostaje z kłosów wypadać i zboże na polach porastać będzie, a jego właściciel naprózno nęcić zechce obietnicą wysokiej płacy zniwiarza, bo ten, hulając na zabój przy pełnej kwaterze i muzyce, wysmieje się z wzywań do roboty. Bolesne doświadczenie przeszli na tej drodze właściciele ziemscy w Galicji. Przy zniwacach chłop najprzód sobie sprzątnął, a potem pił bez upamiętania, nie zważając na zachęty, obietnice, a nawet próżby dziedziców. I niszczały obszerne łany złotej pszenicy, gnął na pniu chleb boży, a nie było rąk coby go zebrały. Były wypadki, że gdy ekonom namawiał

ludzi do żniwa, i obiecywał im po trzy złote dziennie, odpowiadali zuchwale: „Powiedz panu, niech przyjdzie do mnie żąć, to mu dam cztery złote i dwa półkwatki wódki.“ Nieszczęsny ten półkwaterek nie wynagrodził intratą z propinacyi zniszczenia całej krescencyi. Gdy dziś karczem znieść niepodobna, należałoby przynajmniej liczbę ich ograniczyć, naznaczyć wysokie ceny na wódkę i utrzymywać ścisłą kontrolę, aby wbrew istniejącym przepisom, tajemna sprzedaż nie miała miejsca. Nie przemawiamy tu za bezwarunkowym nie piciem wódki, bo bez niej włościanin nasz, przy ciężkiej robocie a zimnym i wilgotnym klimacie, bezwątpienia zupełnie obejść się nie zechce; idzie nam tylko o to, aby powstrzymać zgubne pijaństwo.

Śledząc głębiej jego przyczynę, dopatrzeć jej można głównie w niedostatecznym pożywieniu ludności wiejskiej. Włościanin nasz zwykle rzadko kiedy mięsa używa. Ziemiak, główne jego pożywienie, rozpycha żołądek, ale ciała nie dostarcza potrzebnego pożywienia. Przytém, mianowicie podczas mnóstwa dni postnych, nie mogąc okraścić pokarmów i posilić się dostatecznie przy ciężkiej pracy, czuje osłabienie sił, szuka więc ich pokrzepienia w wódce; nadto w dniach świątecznych, podczas chrzcin i wesel, nie w jednym miejscu przez kilka dni obchodzonych, w czasie jarmarków i targów, piją włościanie na zabój; nakoniec niska cena wódki, pochodząca z niskiego opodatkowania jej wyrobu i niedostatecznego przestrzegania przemycania okowity, wszystko to są przyczyny rozszerzenia pijaństwa.

Gdyby wódkę daleko drożej po karczmach sprzedawano, dochód z propinacyi nie zmniejszyłby się wcale, bo coby ubyło na ilości sprzedanej wódki, toby zyskano na wysokości ceny, włościanin zaś pokrzepiałby się w pracy, ale nie upijał, a nadto możnaby wówczas liczyć na powiększenie sprzedaży piwa, byłoby to było niezbyt drogie a dobre.

Do tego wszystkiego potrzeba koniecznie dobrej woli właścicieli ziemskich. Trzeba by żeby, tak jak nie w jednym względzie przodują w polepszeniu stanu pomyślności krajowej i częstokroć ponoszą znaczne ofiary, i tutaj dali przykład drugim i na tej drodze nie pozwolili się wyprzedzać. Jeżeli dziś tracą, chwilowo przynajmniej, na przeprowadzeniu oczynszowania, to niech raczą nie pożałować jeszcze w tym względzie ofiary i pozwolą, aby serce szło zarówno z rozumem i przecznością. Wytępienie wad i oświecanie włościan wypłaci się sowicie, gdy nie im samym, to ich dzieciom; zyskają powoli przywiązanie i miłość ludu wiejskiego, ochoczo idącego im swemi siłami roboczymi w pomoc, a wdzięczność narodu umiającego ocenić zacne ich usiłowania.

Wydawnictwo nasze ogranicza się na drobniejszych nakładach. PP. Gebethner i Wolff, księgarze tu tejsi, wydali pięknie a rzewnie przez ks. J. Polkowskiego skreślone: *Wspomnienie o życiu i pismach ks. Karola Antoniewicza*, tego szanownego kapłana, który między gromady rozhukanego wieśniactwa, nazajutrz po strasznych wypadkach, szedł z słowami Chrystusa i przywiódł ich do serdecznego żalu za popełnione zbrodnie. W naszym piśmie daliśmy przed dwoma blisko laty zyciorys krótki tego świętobliwego misjonarza; tu czytelnik znajdzie nieskończenie więcej szczegółów, rzucających światło na prace ks. Antoniewicza. Wspomnieni księgarze usilnie popierają rozszerzenie Biblioteki polskiej J. K. Turowskiego. Wydawnictwo to niestety walczyć musi z ogromnymi trudnościami, bo nakład niezmiernie wiele kosztuje, a liczba prenumerujących znacznie się zmniejszyła. Bywają wprawdzie chwile takie, że ludzie nie są usposobieni do oddawania się literaturze; wszelako wstydem byłoby dozwolnić upaść tak zacnemu a pożytecznemu wydawnictwu.

Biblioteka polska, to skarb naszej przeszłości i przyszłości. Ileż to dzieł nadzwyczaj rzadkich przedrukowała ona w ciągu lat kilku i wczesnej niepamięci wydarła! Każdy potomek rodzin sławniejszych winien poprzec to przedsięwzięcie; każdy rodak kochający język swój powinien gromadzić te skarby, aby je puszczać dziełom swoim przekazać; każdy kształcający się w piśmiennictwie krajowem znajdzie tu nieprzebrane bogactwa, w których lata czerpać może, a nigdy ich nie wyczerpie. Przemawiamy tu do wszystkich dbałych nietylko ustami, ale i sercem o oświatę krajową, aby nie pożałowali, jeśli są w stanie, tych kilkudziesięciu złotych rocznie, dla podtrzymania wydawnictwa prawdziwie pożytecznego i dla przyszłych pokoleń niezbędnego, które gdyby naszą winą upadło, nie prędko znalazłby się ktoś równie wytrwały jak pan Turowski, aby się odważył na podjęcie się mozolnego, a nieopłacającego się przedsięwzięcia.

## WYCIECZKA DO GDAŃSKA.

przez

Deotymę.

(Dalszy ciąg.)

Po gradzie niebo się na chwilę wyjaśniło; przewodnik odprowadził nas do owych drewnianych schodków, któremi przyszlismy przed półgodziną; jakże się widok odmienił! Na wyniosłych schodkach staliśmy jak na wyspie, a cementarz dokoła kipiał wodą zalany. Trzeba się jednak było spieszyć, bo nowe, jeszcze groźniejsze chmury nadciągały; dostrzegłszy kilka grobowców sterczących nad wodą, po tym żalobnym moście przeszliśmy napowrót do kaplicy św. Anny, która była jednem jeziorkiem, i wylądowali na dziedzinie zamkowy, gdzie pierwszy przewodnik nas pożegnał.

Po drugiej stronie mostu, w zamku średnim, jest część murów, która od razu uderza swoją piękną chociaż dziwną ozdobnością; kształtnie rzeźbione kolumneczki biegną tam po ścianach, jakby kamienne jaszczurki i warkocze, co nadaje budowie jakąś wypukłą przezroczość. Ta wypieszczona część gmachu stanowi wejście do mieszkania wielkiego mistrza. Tu do nas wyszedł drugi przewodnik; o ile pierwszy był wesoły i gościnny, o tyle ten, jakby w znowiu z chmurami, był ponury i zdawał się zniecierpliwiony dźwiękiem naszej polskiej rozmowy.

Aleśmy wnet o nim zapomnieli, gdy nas wprowadził w gocki, tajemniczy korytarz, na którego końcu pod wysokim oknem ujrzelismy okrągły otwór studni silnie ocembrowanej, niezmiernie głębokiej, lecz w której dziś już niema wody. Wygodnie to było zakonnikom, szczególnie podczas oblężeń, w samym sercu warowni, pod własnym dachem, posiadać nurt zawsze żywy.

Od studni przeszliśmy do komnat. Trzeba przyznać że wielki mistrz mieszkał w prawdziwym Edenie: szereg pokojów cudnie w gwiazdy sklepionych, rozwija się przed wędrowcem, któryby chciał choć jeden z nich porwać i w nim na zawsze zamieszkać. Najpiękniejszą jest komnata sypialna, pełna powagi i cienia, uroczyście oświetlona jednem olbrzymim oknem, z którego oko w zachwycie spuszcza się na wybrzeże spadziste, domkami i gajami obsypane, dalej na szafirową wstęgę Nogatu, a za nią jeszcze na niezmierny krajobraz przeciwnego brzegu.

W tych wszystkich pokojach niema nic zachowanego oprócz murów, ale i w murach jest dusza którą im dzieje nadają; trudno przytém sobie wystawić, z jakim wykończeniem i świeżością są odnowione; zdaje się że wczoraj ostatni odgłos krzyżackiej kielni się tu rozległ i że rycerze dopiero się wprowadzą do zamku.

Wszystkie posadzki są, tak jak były niegdyś, wyłożone kaflami o różnych kolorach, tworzących grube lecz jaskrawe wzory, i po których (o zbytku oszczędności!) nie wolno jest stapać. Podróżnik może chodzić tylko po wązkim suknie na krzyż w komnacie rozłożonem i niecierpliwi się zakazem szanującym prosty kafel, jakby jaką florencką mozaikę.

Z mieszkania gdzie życiem codziennem żyły Konrady, Henryki i Dietrichy, wprowadzono nas do sali jadalnej, w której wielki mistrz znakomitych gości podejmował. Jestto owa sławna sala wsparta na jednym filarze; ma ona istotnie w budowie taką siłę więc taki spokój, taką prostotę więc taki wdzięk, że błogo jest stanąć przy tym jedynym jej filarze, jak błogo jest spotkać człowieka który wszystkie swoje myśli i dążności oparł na jednej zasadzie.

W tej sali są jeszcze dochowane inne zabytki; wielkie, podługnym kształtem wycięte w ścianie okno, z kąd podawano jedzenia i napoje. Był to, mówiąc po dzisiejszemu, bufet; widać w oknie stół szeroki, za nim siedzenia dla krajczego i podczaszego, którzy ztamtąd osobne mieli wyjście. W téjże samej ścianie ujrzelismy komin, wielki jakby chatkę.

Nad kominem, w białym murze czerni się pamiątka najciekawsza tu dla Polaków; jest to kula armatnia rzucona przez działo Jagielly, podczas gdy oblegał Malborg. Tkwi dotąd nietknięta; kilka łokci zбочenia w jej kierunku, a byłaby strzaskała ów słynny filar i z nim całą salę. To drobne a tak ważne chybienie, w murze ją uwięziło, i od wieków ona ztamtąd wygląda, jako ponury świadek tylu zniszczeń i odnowień, tylu smutnych wojen i jeszcze smutniejszych pokojów.

Wszystkie okna w średnim zamku są kolorowe cudnie piękne, ale że nowe, mało naszą ściągają uwagę; na niektórych jednak uderzyły mię i dłużej za-

trzymały kolejno odmalowane herby wszystkich wielkich mistrzów. W sali o jednym filarze, na dziesięciu wysokich oknach przedstawione są w kraśnych obrazach dzieje zakonu. Ma się rozumieć że najmniej tam widać Polaków.

Na piętrze znów nas wiodono przez komnaty i sale o coraz piękniejszych sklepieniach; znów ujrzeliśmy okrągły otwór umieszczony nad studnią, tak iż z piętra można było wiadro zapuszczać.

Nakoniec wchodzimy do sali najświetniejszej, do refektarza zakonu, i na pierwszym kroku stajemy z zachwycenia. Dotąd sądziliśmy, podług opowiadań i wielu rycin, że sala ta przez swój ogrom wydawać się musi niską, przytłoczoną sklepieniem i na ciężkich filarach wspartą. Błogim był nasz podziw, gdyśmy ją ujrzeli zwieszoną na trzech filarach tak wysmukłych, jakby żelazne słupki; u samej góry dopiero te powiewne łodygi rozrastają się w kształt kielichowaty, niby we trzy lilie.

Podwójny szereg olbrzymich, łukowych okien na przestrzał salę oświeca; niezmierna białość murów i słupów rozlewa dziwną pogodę, a od tej białości świetnie odbija ława ponsowem suknie obita, pod śnieżnymi ścianami biegnąca, jak owa taśma czerwona, którą rycerze krzyż na białym płaszczu wyszywali.

Wesoły jak świątynia grecka, lekki jak meczet maurytański, wielki jak kościół gotycki, takim był refektarz Krzyżaków.

Długo tam staliśmy z okiem wzniesionem do sklepień, z myślą bujającą w przeszłości. Przez ten czas nowa chmura na niebie się rozpostarła, i z ogromnym szumem lunęła ulewa, potężniejsza od wszystkich co ją poprzedziły; przez szczeliny wielkich okien woda się wlewała i strumieniami toczyła po sali. Przewodnik, przestraszony tym zniszczeniem, coraz posępniej na nas spoglądał... może obecności naszej przypisywał ten szturm żywiołów. Jakknajprędzej wywołał nas z refektarza i zaprowadził ku ostatniej ciekawości jaką miał do pokazania: są to piwnice pod *średnim zamkiem* leżące. Trzeba przyznać że rycerskie mnichy umiały sobie ładną piwniczkę urządzić; to całe obszary. Dziś już najmniejszy kielich tamby się nie napęnił, ale oko odkrywa widok rzadki i posiadający jakąś potworną piękność. Tam albowiem można widzieć korzenie filarów zamkowych. Korzeń taki, wyrosły z ziemi pnem szerokim jak dąb wiekowy, rozrasta się w niezmiernie grube ramiona, niby kaktus kamienny, i znowu wrasta w piwniczne sklepienie, aby lekkim filarem rozkwiitnąć w niebotycznych salach. Piwnice są takimi kaktusami zarosłe, i wyglądają jak przedpotopowy skamieniały ogród.

Ale nie widzieliśmy jeszcze najszanowniejszej pamiątki zamku, mianowicie słynnego posągu Matki Boskiej, stojącego na zewnątrz kościoła. Pożegnawszy smutnego przewodnika, wyszliśmy po za obręb wawrony i znaleźli się wkrótce przed kolosalną figurą. W ścianie kościoła zwróconej ku miastu, zaokrąglającej się po za wielkim ołtarzem, błyszczą okna tak wysokie jak przybytek; framuga środkowa nie zawiera okna, lecz tworzy niszę, z której Marya, główna opiekunka zakonu i miasta pod jej wezwaniem założonego, zdaje się czuwać ponad *Marienburgiem*; postać jej zdaleka widzialna, gdyż ogromem dochodzi prawie wysokości kościoła. Posąg jeszcze krzyżackiej roboty, teraz wiernie odnowiony, malowany złotem i kolorami, przedstawia Maryję w płaszczu błękitnym, gwiazdami obsianym, trzymającą krzyż wielki w jednym ręku, boskie Dzieciątko na drugim. Czemuż, niestety, pobożny rzeźbiarz nie znał dokładnie rysunkowych rozmiarów? Matce i synowi dał głowy takie olbrzymie, że widok posągu, zamiast oświetlać chrześcijańskim rozrzwinięciem, przeraża sztuką barbarzyńską, jak snycerskie utwory Indyan.

Ochłonawszy z przykrego wrażenia, po trzykroć jeszcze spojrzeliśmy tryumfalnie na zamek, co pomimo krzyżackiej burzy, musiał nam swoje skarby odsłonić, i wrócili do *Wielkiego mistrza*, z kąd wkrótce nas wywołało gwizdanie odchodzącego parowozu.

W wagonie znaleźliśmy różno-narodowe towarzystwo; Francuz ożywiony powracał z Królewca i bardzo chwalił to miasto; „Königsberg, c'est une belle ville,“ a po chwili spytał: „n'est-ce pas, c'est la capitale de la Silésie?“

O cudzoziemcy! Kiedyż się nauczycie geografii?

Prócz niego wsiadło dwóch braci Szkotów, owiniętych w kraciaste zapy; obadwaj obdarzeni głosem rzadkiej piękności, śpiewali nam dziwne piosenki kaledońskie, technące duchem odmiennym od wszystkich nam znanych; myśmy nawzajem śpiewali im nasze, które ich głęboko wzruszały, i tak przy żelaznej przegrywece kół huczających po szynach, brzmiały duety i kwartety, po których sami dawaliśmy sobie tryumfalne brawo. Po trzech kwadransach tej harmonijnej podróży, wagony wtoczyły się między kraty mostu

czczewskiego; tu pożegnawszy śpiewnych podróżników, opuściliśmy pociąg, który wnet z Francuzami i Szkotami odleciał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## KTO WINIEN.

Komedia w dwóch aktach,

Maryi Ilnickiej.

O S O B Y.

PULKOWNIKOWA.  
HELENA jej córka.  
MAJOR DOBIESZA chrzestny ojciec Heleny.  
KAZIMIRZ młody urzędnik, przyjaciel majora.  
RADCA.  
ZOSIA pokojówka.  
JAKUB dawny żołnierz i stary sługa pułkownikowej.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w pomieszkaniu pułkownikowej.

### A K T I.

Salon przygotowany na przyjęcie gości, pajak i świeczniki zapalone. Po prawej stronie widzów zwierciadło stojące, obok mały stolczyk. Drzwi główne i dwoje pobocznych.

#### Scena I.

JAKUB, potem HELENA i ZOSIA.

JAKUB (*przesuwa krzesła, poprawia świeczniki, wreszcie ogląda się w okoto z zadowoleniem*).

No, już wszystko gotowe—ale cóż: z parady Goście koło północy zapewne się zjadą... Ha! co głowa to rozum—widać że panowie Doszli, rozumem w pańskiej mieszczącym się głowie, że w dzień lepiej się sypia, a w nocy tańcuje.

HELENA (*w białym podwośniku wchodzi drzwiami z lewej strony i przechodzi scenę ku zwierciadłu, za nią ZOSIA z papierowym pudełkiem pełnym kwiatów*).

ZOSIA.

Przysięgam, że paniąka wszystkich oczaruje, Tak przesłicznie ma dzisiaj uczesane włosy. Czy dać melanz paryżki, czy te złote kłosy?...

HELENA (*wskazując stolczyk*).

Zostaw wszystko i odejdz, z kolei przymierze, Niezawsze strój, choć piękny, pięknie nas przybierze. Za myślą lice, kwiatek za licem się zmieni...

ZOSIA (*spoglądając ukradkiem w zwierciadło*).

Mnie zawsze jednakowo, najlepiej w czerwieni... (*Zadowolona podbiega ku drzwiom, i zawracając się od proga*).

Ale, ale, Jakubie! W pokoju zielonym Firanka krzywo jednym opada festonem; Trzeba zaraz poprawić.

JAKUB (*ruszając ramionami*).

A jakże inaczej:

Moja rzecz jest poprawić, co panna psuć raczy... (*wychodzą*).

HELENA (*przed zwierciadłem*).

Prawda, dobrze mi dzisiaj w splotach tych warkoczy; Lecz znać tańczę za wiele, zmęczony mam oczy... Biędne oczy! jak żywym błyskałyście wzrokiem, Kiedy z szesnastoletniej nadziei urokiem Spojrzałam w to zwierciadło. Ileż to mar wdzięcznych, Ile snów niedoświadczonych wśród nocy miesięcznych Przesunęło się odtąd przed duszą dziewczyny? Dwudziesto—pięć latnie moje urodziny!... Ha! czas biegł—jak motylek puszczony o wiosnie; Blaskami krasy mojej ciesząc się radośnie, Unosiłam się w świetle i woni salonów, Rachując lata życia na liczbę sezonów. Ale wiosna i młodość równie krótko świeci: I cóż robią motyle, gdy złoty pył zleci Z ich znużonych skrzydełek?... Co robią motyle?...

(*Po chwili milczenia*).

Coraz to częściej takich smutnych dumań chwile Napadają mnie biędną, i choć śmiech na twarzy, Serce coraz głośniejszą tęsknotą się skarży.

(*Pułkownikowa wchodzi*).

#### Scena II.

PULKOWNIKOWA i HELENA.

PULKOWNIKOWA.

A dla Boga Helenko! jeszcze nie ubrana?

HELENA.

Dość będzie na to czasu, dość mam kochana.

PULKOWNIKOWA.

Ale to widzisz jutro urodziny twoje;

Ktoś może przyjść dziś wcześniej, i bardzo się boję, Żeby radca nie czekał...

HELENA.

Zkąd radca koniecznie?

PULKOWNIKOWA.

Tak mi się jakoś zdaje. Byłoby niegrzecznie Nie wyjść zaraz po dobre przyjaciół życzenia.

HELENA (*z uśmiechem*).

Mama zręczny generał i taktykę zmienia Wedle potrzeb swęj armii idącej do boju: Za każdy rok, godzina jedna dłużej stroju...

PULKOWNIKOWA (*wzruszając ramionami*).

Co też tobie czasami do głowy przychodzi...

HELENA (*z lekką goryczą w głosie*).

Nie zawsze zwieść się można, choć się drugich zwodzi. Tak mam, trudna rada; ale nie na żarty Czas płynie—dzisiaj kończę rok dwudziesty czwarty!...

PULKOWNIKOWA.

I cóż ztąd? w twoim wieku byłam taka boża, Taka pusta, wesoła, jak ptaszyna boża.

HELENA (*życiwej*).

Tak mam, lecz ty w pełni uczucia i życia, Lata twoje liczyłaś na serdeczne bicia; Ty już z świętej miłości koroną na czole, Czulaś w piersi twęj się na trosk ziemskich bole. Tyś kochana, kochając, stała już u celu, W obowiązków poważnym choć cichem weselu, A ja?

PULKOWNIKOWA (*niespokojnie*).

Dziecko najdroższe, zkąd tobie ta mowa?

HELENA.

Czy mama może myśli, że mi to rzecz nowa Wejrzeć tak okiem prawdy w moje położenie? To nie jest żadna rozpacz, żadne rozdrażnienie. Ja wiem, że mam jeszcze piękna i jeszcze lat kilka Przejszby mogło jak jedna słodka szata chwilką. Lecz co bawiło dziecię, cięży dziś niewieście: To życie czczego gwaru znużyło mnie wreszcie. Serce chciałoby w piersiach goręcej uderzyć, Chciałoby coś ukochać i czemuś uwierzyć Wiarą całego życia. Matko! ja nieboga Takem w skarby najdroższe kobięcie uboga, Że nieraz mi się płakać chce samęj nad sobą. Cóż z tego, że dziewiczej krasy męj ozdoba Ciągnę spojrzenia tłumów? cóż że biegną ku mnie Z takich próżnych słów dźwiękiem, że smutno i dumnie Muszę iść dalej, biędna królowa mar sennych, Które ścigam daremnie w blasku światła dziennych...

PULKOWNIKOWA (*z boleścią*).

Co to za czasy teraz?... mój Boże! mój Boże! Przecież widział, że wszystko zrobiła, co może Zrobić matka, by dziecku szczęście przygotować. Któż mógł córkę staranniej i lepiej wychować? Jest uczucie, nauka, talenta w dodatku, Ojciec pocziwie imię zostawił jej w spadku, Bóg dał urodę.—Czegóż trzeba więc kobięcie, Aby sobie skarb szczęścia znalazła na świecie? I to jest wiek postępu?... O! niech Bóg uchowa Ludzkosć od tego dobra.—Młodzież postępową Nie raczy już przy świętym ognisku rodziny Ogrzać swych serc wystygłych...

HELENA.

Lecz mam, czyż winy

W nich tylko szukać trzeba? nieraz to pytanie Zadawałam już sobie...

PULKOWNIKOWA.

Mówię ci kochanie,

Że dawniej, byle panna skromna a przystojna, Sza w świat o swoje szczęście i przyszłość spokojna. Nikt tak córek nie woził, nie stroił, nie zdobył, Balów dla nich nie dawał, wysiłek nie robił, A przecież każda sobie znalazła bogdana, I stara panna była rzecz niemal nieznaną. Ja na przykład, nie miałam nawet i połowy Twęj piękności, talentów, twęj wdzięcznej wymowy; A ledwo szesnastego doczekawszy roku, Kupiłam sobie męża jedną leżką w oku!... Tak moje dziecko, kiedy ojciec twój do domu Wrócił z długiej wędrówki, z krwawych walk rozgromu, Ja miałam lat szesnaście, i gdzieś go była Na zebraniu w sąsiedzkim domu zobaczyła. Młody jeszcze i piękny kresą, co mu czoło Upromieniła w blasków najświetniejsze koło, Opowiadał przygody dalekiej wyprawy; A ja na te obrazy walk, zwycięstw i sławy Czułam jak serce w drżącym uderza mi łonie, Jak się czoło podnosi i lice mi płonie. Lecz kiedy cichszym głosem dalsze prawiać dzieje, Malował w krwi potokach ginące nadzieje,

Łzy próżno wstrzymywane trysły mi po twarzy.  
Długo jeszcze gwarzyli i młodzi i starzy,  
Lecz on umilkł z wlepionem w lica moje okiem,  
A ja pod tego wzroku męskiego urokiem  
Uczułam się od razu tak dziwnie szczęśliwa,  
Jak ten, któremu nagle jakiś skarb przybywa.  
Nazajutrz pan pułkownik był u nas z wizytą,  
I ze czcią rodzicielskiej władzy należyta  
Zapytał mego ojca, czy mu będzie wolno  
Nieść pannie Katarzynie swą służbę powolną;  
A w trzy miesiące potem już w obliczu Boga  
Przyśiągł mi, że nam razem pójdzie życia droga.

HELENA (*smutnie*).

Masz słusność mamó: dobre czasy były,  
Kiedy serca tak żywo, tak gorąco biły,  
Że po łzie lub uśmiechu poznając się wzajem,  
Ludzie umieli sobie ziemię zrobić rajem...

### Scena III.

CIŻ I JAKUB.

I kiedy zewsząd wiernych przyjaciół drużyna  
Pospiesza córce twojej nieść życzenia swoje,  
Ja, co milczeć nie mogę, a mówić się boję,  
Tobie pani śmiem tajnie uczuć mych otworzyć  
I na twe ręce prośbę—nie—modlitwę złożyć,  
Aby to twoje dobre, piękne, lube dziecię,  
Któremu wszystko szczęściem winno być na świecie,  
Młodego swego życia straż chciało mi zwierzyć.

(*przerwywając sobie radośnie*)

Widzisz, widzisz kochanie! jak to trzeba wierzyć  
Przecuciom macierzyńskim: ja nawet na chwilę  
Nie wątpiłam w niezłomnej przekonania sile,  
Że świat musi cię wreszcie ocenić inaczej.

HELENA (*szydersko*).

I siwy starzec miłość swoją dać mi raczy.

PULKOWNIKOWA.

Jak też ty dzisiaj wszystko z dziwnej widzisz strony!  
Człowiek taki przyjemny, powszechnie ceniony;  
Wreszcie jego majątek... lecz pozwól mi skończyć.

(*czyta*)

Wiem ja, że wiosna z zimą nie rada się łączyć,

Jak to dobrze przypada do twojej urody,  
Do twojej pici śnieżystej a ciemnych warkoczy!..  
(*przymierza jej kolczyki do uszu*)

HELENA (*spojrzawszy przelotnie w zwierciadło*).

Tém niebezpieczniej, mamó, nęcić sobie oczy,  
Bo to dar za bogaty dla mnie na wiązanie...

PULKOWNIKOWA (*niespokojnie*).

Jak to?... co ty chcesz przez to powiedzieć kochanie?

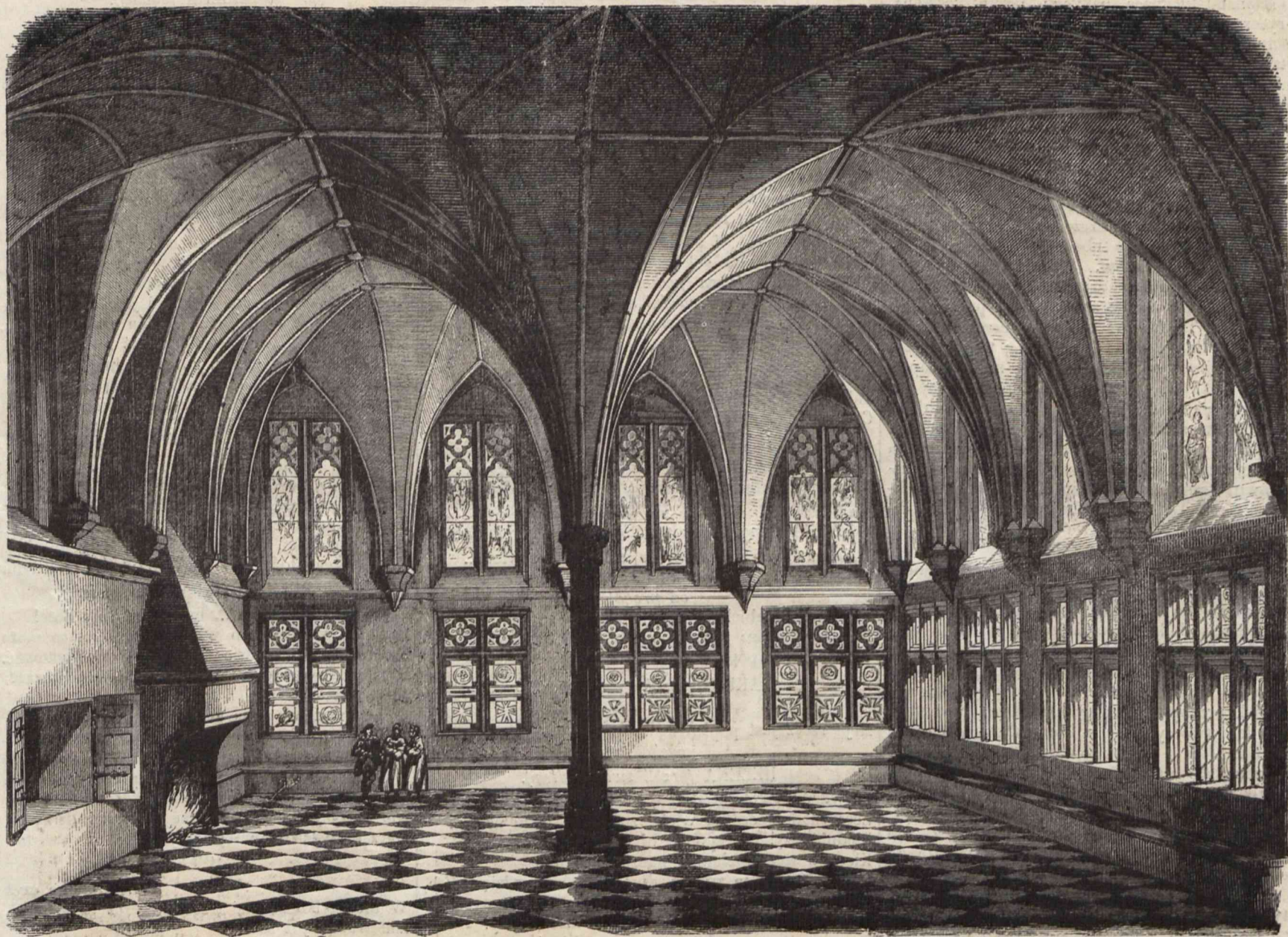
HELENA (*z uśmiechem*).

Że trzeba do pudełka te pokusy schować,  
A kiedy ja do siebie pójde się sznurować,  
Mama odpisze radcy, że jakkolwiek cenię  
Jego dobre, a dla mnie zaszczytne życzenie,  
Pójść za niego nie mogę...

PULKOWNIKOWA (*nieśmiało*).

Drogie dziecko moje,

Ja ciebie nie przymuszam i zranic się boję;  
Ale jakieś mówiła sama w tej godzinie,  
Lata szybko uchodzą... rok za rokiem płynie...  
A z czasem...



SALA JADALNA W. MISTRZÓW.

JAKUB (*wchodząc*).

Pan radca przysłał.—Wojciech na odpowiedź czeka.  
(*Oddaje pułkownikowej list i pudełko safanowe*).

PULKOWNIKOWA (*żywo, drąc kopertę*).

Podaj światło, nie mogę dojrzeć tak z daleka;  
Lecz nie—pismo wyraźne,

(*do Heleny z wesołym uśmiechem*)

Zbliźże się kochanie,  
Mam nadzieję że miłe spotka cię wiązanie.

### Scena IV.

PULKOWNIKOWA I HELENA.

PULKOWNIKOWA (*czyta*).

Szanowna pani!

Chociaż szron zimy na skroni,  
Serce się od gorętszych uczuć nie obroni,  
A złożywszy w nich całe szczęście swego życia,  
Raz wreszcie musi na jaw wydać je z ukrycia.  
Dziś na mnie przysłała taka stanowcza godzina,

Że smutnym dziewosłębem zwykł bywać włos biały;  
Ale powiedz jej pani, że żywot mój cały,  
Że wszystko mienie moje pod jej stopy złożę;  
Że ona będzie dla mnie jak to światło boże,  
Co splywa ku nam smutnym dni jesiennych mrokiem.  
Lecz z jakimkolwiek przyjdzie spotkać się wyrokiem,  
Kokolwiek niebądź ona i los mi przeczaczy,  
Niech w zwykłej swój dobroci pogardzić nie raczy  
Wiązaniem życzliwego zawsze przyjaciela,  
Co w niej nadzieję szczęścia złożyć się ośmiela.

PULKOWNIKOWA (*wesoło*).

No, cóż ty teraz na to?

HELENA (*spokojnie*).

Nic, kochana mamó;  
Twoje serce kobięce niech odpowie samo.

PULKOWNIKOWA.

Prawdziwie, jesteś dzisiaj jak kapryśne dziecię!  
(*otwiera pudełko*)

Kolie, brosza, kolczyki! no spojrzysz przecie,  
Jaki blask, jaki ogień, co za czystość wody,

HELENA (*zartobliwie*).

Przyjdzie zmarszczek kompania złowroga.

Ale żarty na stronę,—ja wiem, matko droga,  
Że słowa twoje płyną z troski o me szczęście,  
Lecz powiedz, czy je może dać takie zamęcie?  
Ten biędny, siwy starzec, któremu trzeba  
Kłamać w obliczu świata, bluźniąc w imię nieba,  
Dałby mi jasne płatki, brylantowe stroje;  
Ale moje sny młode, ale serce moje,  
Coby poczęło w wiecznej próżni i tęsknocie?  
Nie matko! ja nie mogę sprzedać się za krocie!  
I chociaż może próżną nazwali mnie ludzie,  
Chociaż wśród wiru świata, w jego mar uludzie,  
Wydawałam się lekką jak ta balu szata,  
Strojna w kwiatki z papieru i szychem bogata,  
W piersi mój drgała zawsze tajemna tęsknota  
Za jakimś innym, szerszym gościńcem żywota,  
I nieraz w szale balu ja, jego królowa,  
Gdy mnie pochlebstw namiętne upajały słowa,  
Schylałam skroni gorącą i w smutnej zadumie  
Pytałam sama siebie: czy w tym całym tłumie  
Choć jedno serce kiedy szczerze mnie ukocha?

A wtedy... matko moja! ja, wietrznica płocha,  
Z jakąż roskoszą razem dumna i pokorna,  
Zrzuciłabym tę szatę Nessusa wytworną,  
By z świętym skarbem moim pójść cicho przez życie...

PULKOWNIKOWA.

O moje ukochane, moje biedne dziecię,  
Czyliż ja inną doli chciałabym dla ciebie?  
I niech mi dusza ojca twego świadczy w niebie,  
Że do radcy nie ciągną mnie jego dostatki.  
Ale nikt w świecie, chyba drugie serce matki,  
Nie pojmie moich nocy, moich dni męczarnie,  
Gdy patrzę jak kwiat życia twego schodzi marnie.  
Wreszcie nikt tu na świecie nie wieczny, kochanie,  
A jakież ciężkie, straszne miałabym konanie,  
Czując że dziecko moje zostaje się samc!...

HELENA.

Nie mów, o nie mów do mnie tak raz drugi mamol!  
Bo jest wzrok w twoich oczach, w twoich ustach słowa,

Cóż dziwnego, że serce przenikło kobiecie?  
Kiedy za myśli jego dumnym prądem lece,  
To czuję, że jak mała ta gołąbka drżąca,  
Tylko za orłem moim zalecę—do słońca!...

PULKOWNIKOWA.

Uspokój się kochanko, uspokój na chwilę,  
Tyleś miała dziś wzruszeń, niepokojów tyle...  
*(usiłując ją podnieść, siada na tuż stojącej kanapce).*

HELENA.

Nie mamol, tu u kolan twoich niech wypowiem,  
Że on jest moim światłem, mém szczęściem, mém zdro-  
Tak, że dać się innemu, byłoby zabiciem [wiem,  
Wszystkiego, co w méj piersi drga ciepłem i życiem.

PULKOWNIKOWA.

Lecz słuchaj moje dziecko: Kaźmirz ma niewiele,  
A mała nasza wioska, z bratem twym w podziale,  
Nie stanowi majątku—pobyt zaś w Warszawie

Gdy się tak twoje serce złudom mar powierza,  
Jestżeś ty pewną chociaż?...

HELENA *(zrywając się).*

Miłości Kaźmierza!...

O mamol, droga mamol, jest jakieś przecucie,  
Jest coś w ruchu, spojrzeniu, w słów zwyczajnych nucie,  
Co serca kobięcego nigdy nie omyli...

PULKOWNIKOWA.

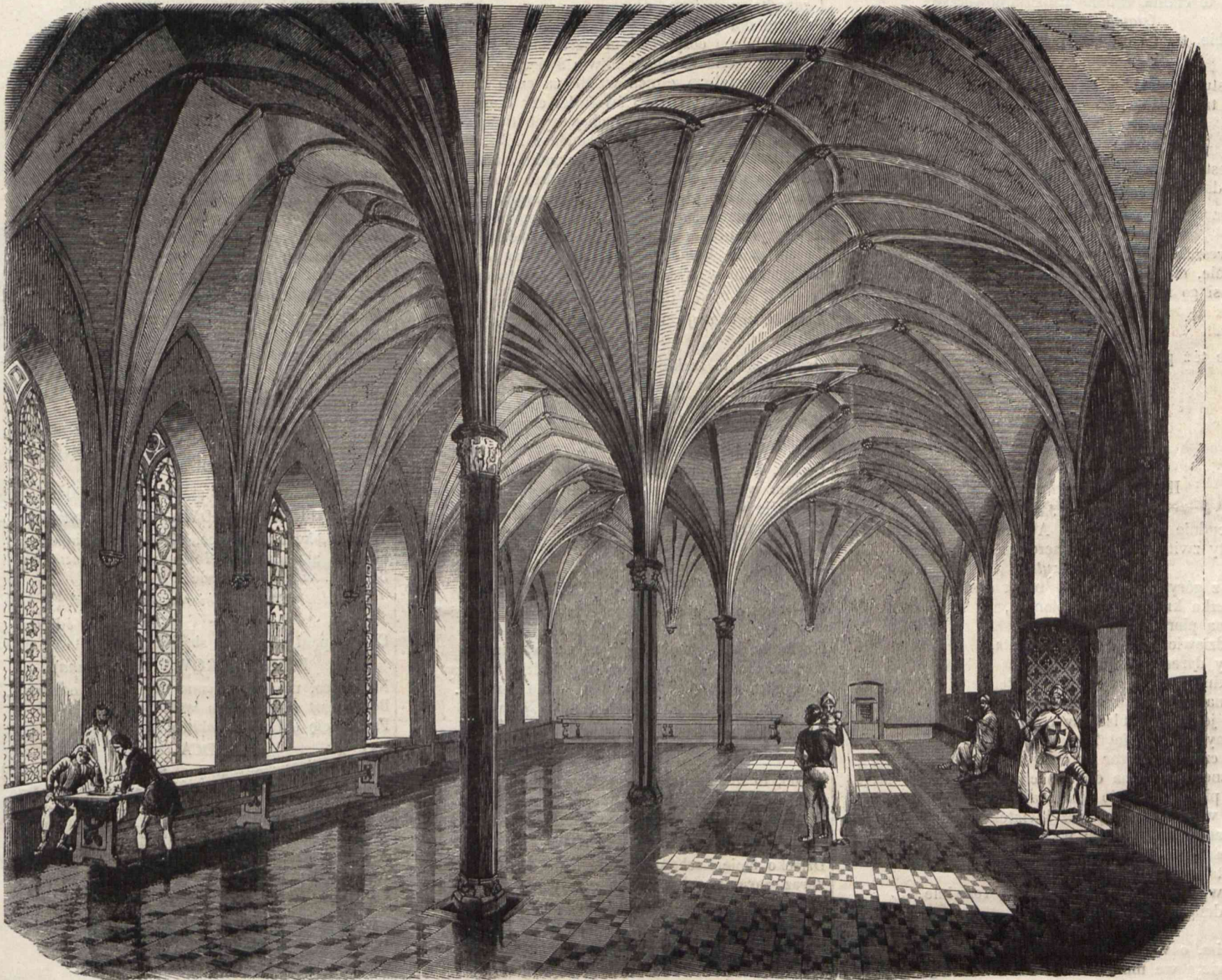
Dziecko moje kochane, ja wiem że w tej chwili  
Słowy memi boleśnie w piers twoją uderzę,  
Lecz ja w dzisiejszą młodzież, w ich serca—nie wierzę.

HELENA *(jakby proszącym głosem).*

Mamol! on taki zacny... on taki szlachetny...  
Ja wiem że on mnie kocha...

PULKOWNIKOWA.

Tak, twój płci blask świetny,  
Oka twojego błękit, głosu twego brzmienie



REFEKTARZ W ZAMKU MALBORSKIM.

Dla których wszystkim zrobić, wszystkim dać gotowa.  
Ale czyż mnie o szczęściu już nie wolno marzyć?  
Czyż dla mnie już się w życiu nic nie może zdarzyć,  
Coby ziściło słodkie moje sny dziewczęce?  
Jeszcze im rok, rok tylko jeden im poświęcę,  
A potem niech się ze mną dzieje wola Boga!...  
*(mocno wzruszona chodzi po pokoju)*

PULKOWNIKOWA *(smutnie).*

Nie zawiodła mnie tajna przeczuć moich trwoga  
I Bóg snadź w Niebie mego nie słyszał pacierza...  
*(zachodząc drogę córce)*  
Helenko, dziecko moje! ty kochasz Kaźmierza...

HELENA *(chwilę stoi zapłonią, nagle rzucając się do kolan matki).*

Tak, kocham! kocham matko! on piękny, on młody,  
Czyż nie wart tej najświętszej na ziemi nagrody,  
Czyż on nie wart miłości?... Jego mężkie oko,  
Co na świat tak ogląda jasno i szeroko,

Mój posażny kapitał tak wyczerpał prawie,  
Żebym ci nic nie mogła dać oprócz wyprawy.  
A pomyśl tylko sobie, co to za los krwawy  
Liczyć się z każdym groszem, z każdym swém życzeniem.  
Jeszcze ty, dziecko moje, z twoją nawykniem,  
Z twém delikatném zdrowiem...

HELENA.

Szczęścia mego siła  
Od razuby mnie mocną, wytrwałą zrobiła.  
*(pieszczotliwie)*

A przytém mama nie wie, jak to ja w potrzebie  
Zabiegliwą gosposię stworzyłabym z siebie,  
Jakbym się do roboty zrywała ze słonkiem,  
Jakbym sobie piosenki nuciła z skowronkiem,  
Warząc, smażąc i prażąc—a jakie to stroje  
Wymyślałabym sobie...

PULKOWNIKOWA.

Biedne dziecko moje!

Ciągnie mu mimowoli serce i spojrzenie.  
Ale przypomnij sobie, ilu to ich było,  
Którym serce gorąco na twój widok biło,  
A cóż z tego?... I Kaźmirz znów zrobi to samo,  
Popatrzy w piękne oczy...

HELENA.

Mamol, droga mamol!  
Może to wina moja, może jest coś we mnie  
Co ich miłość, ich serca odpycha tajemnie.

PULKOWNIKOWA.

Dziecko! złota ci braknie. Twoją całym wianem  
Jest słodki wdzięk niewieści z sercem rozkochaném,  
Lecz tego już niedosyć na te czasy złote.  
A pamiętasz—biedaczko, jak w przeszłą sobotę  
Obok ciebie, tak pięknej, rozumnej i świetnej,  
Twój pan Kaźmirz, tak bardzo mądry i szlachetny,  
Manią, tą wiejską gąską, zajął się w tej chwili,  
Jak o kwiatach, o grządkach rozprawy toczyli,

Jak jęj sukienkę w kratki znajdował prześlizną,  
Bo za nią, jak w przymacie, widział—wiesz dziedziczną...

HELENA (*przesuwając rękę po czole*).

Mania ma lat szesnaście... Mania taka świeża...

## Scena V.

CIŻ i JAKUB.

JAKUB (*wnosząc kieszonkę różę z kwitnącym kwiatem*).

Wiązanie dla paniąki od pana Kaźmirza!

HELENA (*podbiegając żywo*).

O śliczny, śliczny kwiatek!

JAKUB (*mrucząc konfidencyjnie*).

A jaki pachnący...

Rychtyg jak dla paniąki...

(*podnosi ku niej doniczkę*).

HELENA.

Ust oddech gorący

Może te cudne, drobne listeczki powarzyć.

(*stawia doniczkę na stoliku*).

Jakubie, trzeba czémciś posłańca obdarzyć.

JAKUB.

Uczęstuję paniąko, tego uczęstuję,  
Lecz tam i Wojciech czeka...

HELENA (*żywo*).

Mama odpisuje,

To jest zaraz odpisze... Mateczko kochana,

Czy dać papier i pióro?...

PULKOWNIKOWA.

Nadtom z mordowana,

A wreszcie niema teraz czasu do pisania.

Jakubie, niech się Wojciech panu radcy kłania  
I prosi go na wieczór.

JAKUB.

I pana Kaźmirza

Także też prosić trzeba...

(*wychodzi*).

## Scena VI.

PULKOWNIKOWA i HELENA.

HELENA (*przyglądając się różę*).

Jaka pełna, świeża,

Jak cudnie wpół rozwita. Ach mamol patrz... biały,

Skryty zwitek papieru, raczej listek mały...

(*czyta*).

Gdy z góry strzelił ciepły blask słońca,

Różyczka krasą wstydu płonąca,

Wonną pierś swoją rozwiła.

Ale dziewicy czy dość jęj kwiatu,

Ażeby darem jego bogata,

Słodkim snem szczęścia zaśniła?

Bo ona piękna jak anioł z nieba:

Może jęj innych blasków potrzeba,

Korony pereł i złota?

Lecz czyż ich ciężar w dumania chwili

Śnieżnego czoła na dół nie chyli,

Gdy pierś podniesie tęsknota?

Weź więc, dziewico, weź kwiatek różę;

Kochanka słońca może wywróży

Szczęście tak skromne jak ona.

I w tajemniczej jakiej godzinie

Pak wpół zbudzony w kwiat się rozwinie,

Pod drżącym rąbkiem u łona...

(*do matki*).

Widzisz, o widzisz mamol on mnie kocha szczerze,

On wiare we mnie znalazł w serca swego wierze,

I z tego świata fałszu, pozoru i mary,

Woła mnie w świat miłości, prawdy i ofiary,

W świat szczęścia i nadziei za sobą mnie wzywa.

O mój Boże! ja dzisiaj zanadto szczęśliwa,

Zanadto mi tu dobrze... Ach! jak mi twarz płonie;

Chce mi się śmiać i płakać. Mamol, w twoje dłonie

Utul mi trochę czoło, pocałuj mnie mamol,

I powiedz, czy i z tobą działo się tak samo

W podobnej jak ta chwili?

PULKOWNIKOWA (*całując ją w czoło*).

Drogię dziecko moje,

Niech cię Bóg błogosławi!

HELENA (*żywo*).

W co ja się dziś ubiorę?... Chcę być bardzo piękną,

Niechaj zdziwione tłumy u stóp moich klękają,

A ja tylko dla niego uśmiech mego lica,

Dla niego wzrok mieć będę... Lecz wiem: czarownica

Wnet oto na rusalki, służki moje, klasnę,

Niechaj mi z głębi gajów przyniosą mgły jasne,

I w wszystkie spadające gwiazdki je usięją,

A będę mieć sukienki...

PULKOWNIKOWA (*z uśmiechem*).

Gdyby tak koleją

Twoje rusalki wszystko przynosić ci chciały,

Toby mi nieraz z głowy spadł kłopot niemały.

Lecz wracając do rzeczy, czy ty chcesz, kochanie,

Wziąć tę suknię gazową ze srebrem?

HELENA.

Ubranie

Tak jasne, tak przejrzyste, jak dziś myśli moje.

Mateczkol ja do szczęścia mego się stroję...

PULKOWNIKOWA.

Tak... lecz to toaletta za zbyt świetna może

I za droga na dzisiaj...

HELENA (*jakby do siebie*).

Z tych pączków ułożę

Wianek sobie na czoło. Lecz nie, pod ich wonią

Nuż mi się nagle oczy srebrną lżą zasłonią,

Nuż mi serce za żywo uderzy wśród łona,

I zanadto szczęśliwa, nadto rozmarzona,

Powiem mu głośno: kocham! Wreszcie ten tłum cały,

Wszystkie ich oczy zimnym wzrokiemby padały

Na te szczęścia mego relikwie święcone.

Nie, nie! gdybym z nich wzięła na czoło koronę,

Jużbym w serca mego świętości czy dumie,

Nie umiała w bezdusznym obojętnych tłurpie

Uśmiechać się, i kłaniać, i kłaniać z kolei.

O kwiatku mój woniący! mój kwiatku nadziei!

Wiem ja gdzie cię zaniosę: tam gdzie modły moje,

Gdzie nieraz popłynęły cichych łez mych zdroje,

Tam cię przed Matki Boskiej postawię obrazkiem.

A gdy ja ludziom pójde sztucznym lśnić się blaskiem,

Ty się módl, kwiatku mały, za kobięce serce,

Co się rwie w wiecznej z sobą i światem rozterce.

PULKOWNIKOWA.

Ale kochanie moje, ósma już dochodzi...

HELENA.

Ósma... jak to niekiedy czas szybko uchodzi,

A ja jeszcze nic nie wiem co włożę na głowę.

PULKOWNIKOWA (*wskazując pudetko*).

Masz widzę złote kłosy, masz fuksje paśowe.

HELENA.

Oj nie, nie, moja mamol. Pamiętam w sobotę.

Miałam wstąpić paśową, miałam szpilki złote...

Wreszcie w tęg serca mego świętecznej niedzieli,

Chciałabym błysnąć przed nim w takiej jasnej bieli,

Aby mu wszystkie inne zgasły przed oczyma.

Mateczko, wszakże Jakub nie już robić niema?

PULKOWNIKOWA.

Zapewne, o tęg porze... lecz cóż chcesz kochanie?

HELENA (*pieszczotliwie*).

Mamol, kwiatek kamelii daj mi na wiązanie,

Kwiatek biały i świeży, co swój wdzięk uroczy

Żywych blasków odbiciem i na mnie roztoczy.

PULKOWNIKOWA (*niechętnie*).

Ale to już tak późno, Jakub nie pospiesz...

HELENA (*prosząc*).

Mamol, to nie zalotna próżność we mnie grzeszy,

I dzisiaj, dzisiaj tylko—mamol, jam zazdrośna!

A Manię stroić będzie lat szesnastu wiosna...

PULKOWNIKOWA.

Dziecko moje kochane, drogię moje życie,

Zaraz, zaraz posyłam; tylko należycie

Rozpowiedź Jakubowi—lecz nie, powiem sama,

A ty idź się ubierać.

HELENA (*całując ręce matki*).

Dobra, droga mamol!

Ze swoją jedynaczką ma tyle kłopotów.

PULKOWNIKOWA.

Idź już, idź moje dziecko. Jeśli Jakub gotów,

Niechaj zaraz tu przyjdzie.

HELENA (*biorąc doniczkę*).

Chodź, mój gościu wdzięczny,

Gdzie cię cisza i promyk powita miesięczny.

## Scena VII.

PULKOWNIKOWA, potem JAKUB.

PULKOWNIKOWA (*patrząc smutnie za odchodzącą*).

Biędna moja dziecino! ty o szczęściu roisz,

Gonisz marę miłości i w kwiatki się stroisz;

Aż zawód pierś ci złamie, aż z rozdartém łonem

W uścisk starca upadniesz z sercem zakrwawioném,

A wtedy świat szyderstwa powita cię śmiechem

I w łzawę oczy rzuci zaprzędania grzéchem!...

JAKUB (*wchodząc*).

Już czekam, proszę pani.

PULKOWNIKOWA.

Mój dobry Jakubie,

Weź sanki i pięciutko, jak to wiesz ja lubię,  
Przywieź od ogrodnika sześć kamelii kwiatów.

JAKUB (*kręcąc głową*).

Figiel będzie kosztował z jakie sześć dukatów.

Albo to już paniąka nie ma dość tych strojów?

Raz po raz pudło jakie niosę do pokojów,

I jest tam tego chyba, jest pełno jak siana.

A przecież to za życia nieboszczyka pana

I pani była młoda, bywało się w świecie,

A jednak tyle grosza nie szło na rupiecie.

PULKOWNIKOWA.

Dziś widzisz inne czasy, inne obyczaje.

JAKUB.

Mnie się tak, proszę pani, na mój rozum zdaje,

Że każdy zastawiając się temi czasami,

Ciągnie się tylko marnie i sam siebie mami.

A gdyby tak, na przykład dając, proszę pani,

Paniąka dziś przypięła listeczek geranii,

Jak bywało za dawniej staropolskiej mody,

Czybyto, prawdę mówiąc, ubył urody,

Alboby tęg kto mądry rzekł na to co złego?

Gdzie tam, jęszczeby w serce tknęło niejednego,

Że statecznie chowana i rozsądnie czyni,

Więc z czasem będzie w domu dobra gospodyn;

Bo to nikt, proszę pani, serca nie rozkraje,

A świat sądzi, jak człowiek na sąd się podaje.

PULKOWNIKOWA.

Może ty masz i słuszność, wierny sługo stary.

Cóż mi przyniosły wszystkie troski i ofiary?

Te kłopoty codzienne, te szpilki ranki,

Co po nocach biesiadnych truły mi poranki,

Ważąc dni upłynionych korzyści i straty?

Lecz nie czas teraz myśleć. Idź stary po kwiaty!...

(*Jakub wychodzi, pulkownikowa zamysłona siada na kanapce. Po chwili milczenia wchodzi radca, wysoki i szlachetnej postawy, ale już na pół siwy starzec*).

## Scena VIII.

PULKOWNIKOWA, RADCA.

RADCA.

Wybacz pani, że dzisiaj przed wszystkimi spieszę.

PULKOWNIKOWA (*wstając żywo*).

Właśnie, kochany radco, niezmiernie się cieszę,

Że nam się zdarza wolna chwila do rozmowy,

Bo mam ci wiele mówić...

RADCA (*biorąc ją za rękę*).

Czy gorycz odmowy

Chcesz pani odiać w słodkie dobroci twęj słowa?

PULKOWNIKOWA (*zakłopotana*).

Nie radco, nie wiem sama czy to jest odmowa...

Bo chociaż się Helenka waha, ja od siebie

Proszę cię o czas zwłoki...

RADCA (*żywo*).

O przez Boga w niebie!

Niech ją nic nie popycha, nie nagli w wyborze.

Może co w sercu... jaka słodka mara może?...

PULKOWNIKOWA.

A któreż dziewczę, radco, choć trocha nie marzy?

Ale widzisz, matczyne serce jest na straży,

I biędne dziecko swoje od upiorów broni.

RADCA.

I jestże tarcza na to?

PULKOWNIKOWA.

Już słyszę ktoś dzwoni,

Chodźmy ztąd, radco, przy twym zacnym charakterze,

Mogę z tobą pomówić otwarcie i szczerze.

(*Wychodzą na prawo, po chwili major i Kaźmirz wchodzą głównymi drzwiami*).

## Scena IX.

MAJOR i KAŻMIRZ.

KAŻMIRZ.

Mówiłem że zawcześnie, mówiłem majorze.

MAJOR.

A któż tam słyszał fioki stroić o tęg porze!...

KAŻMIRZ.

Nota bene, gdy z funtem karmelków różowych

Major przynosi tuzin życzeń już gotowych...

MAJOR.

A za to wszystko razem czeka na całusa.

No cóż chłopcze, ten całus kaduczna pokusa,

Bo usta jak koralki. Ale żart na stronę,

Pocziwości dziewczyna, i po taką żonę  
Można w waszności wieku pójść choćby przez morze.  
No cóż? stoim i milczym!...

KAŹMIRZ.

Slucham cię majorze.

MAJOR (*niecierpliwie*).

Sluchasz! słuchasz! nie można wiecznie słuchać bratku,  
I raz przecież przemówić trzeba na ostatku!..  
(*wzruszając ramionami*).

Dalibóg, nie rozumiem tej dzisiejszej młodzi.  
Część fircyków, część głowy pospuszczawszy chodzi,  
Jakby im w żyłach nie krew płynęła, lecz woda.  
Dla takich bernardynów i młodości szkoda!

KAŹMIRZ.

Pan major nas biedaków nielaskawie sędzi.

MAJOR.

Bo sam przyznaj, mój Kaziu, kto z was dziś się rządzi  
Tym z wiekową mądrością zrosłym obyczajem,  
Na którym stał kraj cały, a on snadź stał krajem?  
Ty na przykład: pocziwy chłopak co się zowie,  
Ciepło masz w męskiej piersi, jasno w młodej głowie,  
A powiedz, czy wiek młody marnie ci nie płynie?  
Nie mógłbyś to już ojcem stać w zacnej rodzinie?  
Nie mógłbyś to przez męskiej duszy twej przynioty  
Stworzyć ogniska czystej, staropolskiej cnoty,  
Co roznosząc w cichości ożywcze swe ciepło,  
Ogrzałoby niejedno serce co dziś skrzepło?  
I gdzie ty sam, gdy zawód męzką pierś przełamie,  
Gdy w pracy bezowocnej utrudzi się ramię,  
Zaczerpnąłbyś sił nowych na to walki pole,  
Gdzie dotąd, miasto kuli, krzyżują się—bole?..

KAŹMIRZ.

Majorze!

MAJOR (*zapalając się coraz więcej*).

Sluchaj chłopcze, pocziwa kobieta  
To nie nowy trud w życiu, lecz hart i podnieta:  
Ona ci tarczę wiary da na losów burze,  
Ona z miękkiej swej piersi zbuduje przedmurze,  
By cię codzienną troski nie ranily szpilki,  
I jak w dzień letni białe, małe te motylki,  
Jasna i cicha płynąć będzie twoim śladem.

KAŹMIRZ (*z uśmiechem*).

Najwymowniej to pono każe się przykładem...

MAJOR (*kładąc mu rękę na ramieniu*).

Chłopcze! nie ten ksiądz tylko co chodzi w habicie.  
Wielkiej oblubienicy dałem moje życie,  
I związanemu ślubem jak kapłaństwo świętym,  
Nie było już za innym westchnąć sakramentem.  
A przecież słuchaj: tu, w tej piersi przestrzeloną,  
Budzi się czasem taki żal niewypłoniony,  
Taka nieopisana dźwiękiem słów tęsknota...  
(*machnąwszy ręką*).

Ale co tam... dębowe niedaleko wrota!..

KAŹMIRZ.

Przepraszam cię, przepraszam za mój żart, majorze!

MAJOR.

Nie mój chłopcze, mnie raczej w rozprawy ferworze  
Prysnęło za gorące na starego słowo.  
Lecz do naszej materyi wracając na nowo,  
Przyznaj, że to nie próżna zrędy gadanina.  
I gdyby tak pocziwa jaka dziewczynina,  
Tak na przykład Helena?.. Cóż, sploniony stoisz?  
Powiedz prawdę, jeżeli w ogień iść się boisz,  
Służę waści z pomocą, i ot, w imię Boże,  
Dziś w wieczór jeszcze wszystko ułożyć się może...

KAŹMIRZ.

Majorze! gdybyś wiedział co się dzieje we mnie...

MAJOR.

Wiem już, wiem—drzysz i pałasz, a wszystko tajemnie.  
Ten twój sekret i ślepy dojrzałby, kochanku,  
Inaczej takbym przecież nie napadł cię z flanku,  
Biorąc gwałtem za kolnierza; chociaż, mówiąc szczerze,  
Nie dla ciebie to czynię, mości kawalerze,  
Tylko żal mi dziewczyny, sercem lgnie nieboże...

KAŹMIRZ (*żywo*).

Sercem!... o gdybym tego pewny był majorze,  
Że ta postać uroczą, z spojrzeniem anioła,  
Ma w białej piersi serce, które kochać zdoła,  
Gdybym tego był pewny... mój Boże! mój Boże!  
Kiedy ją widzę czasem, jak w cichy pokorze  
Składa dłoń do modlitwy, gdy pod mój spojrzeniem  
Słodkich jakichś uroków rozbliska promieniem,  
Gdy z srebrną łezką w oku starą pieśń słucha,  
Lub na śnieżystych skrzydłach niewieściego ducha  
Uczuciem tam dolata, gdzie siłą rozumu  
Ledwo się umysł męski zdoła wzbąć z nad tłumu:  
Zdaje mi się, że pięknie pierś szczęściem wezbrana,  
Że do jej nóżek małych padnę na kolana.

MAJOR (*niecierpliwie*).

No, to czemuż nie padasz?

KAŹMIRZ (*smutnie*).

Bo w tej samej chwili

Dziewica polska w sztuczna lalkę się przesili,  
I płatkami błyszcząca, a blaskom tym rada,  
Tak jakoś lekka, do ich lekkości przypada,  
Że już nie mam odwagi powiedzieć: chodź ze mną,  
Odtąd bogaci tylko miłością wzajemną,  
W pracy i walce będziemy isć drogą ofiary,  
To co w tyle zostawiasz, to blichtry i mary...

MAJOR.

A przecież jestem pewny... pewny jak Bóg żywy!  
Bo to i dziecko dobre, i ród już pocziwy...  
(*Chodzi wzruszony po pokoju; tymczasem Jakub, trzymając w ręku opięte w bibule kwiaty, zagląda przez drzwi główne*).

## Scena X.

Ciż i JAKUB.

MAJOR.

A kolego!...

JAKUB (*prostuje się, salutując po wojskowemu*).

Do usług panu majorowi!

MAJOR.

Cóż tam słyhać na świecie? lebscyśmy i zdrowi?  
Gdy tak jakoś z nienacka spojrzę się na wasze,  
Zmartwychwstają mi nagle stare czasy nasze.

JAKUB (*uśmiechając się*).

Wieczory biwakowe, stójki na widecie;  
Mnie się to często gęsto wszystko bez sen plecie,  
Rychtyg jakby na jawie,—niedalę jak wczora  
Skradłem Hiszpance kurę dla pana majora...

MAJOR (*wstrząsając go za rękę*).

Dziękuję ci kolego—jesli tłusta aby...  
Bo wiesz co, lepiej było kraść u polskiej baby.  
Ale cóż tam u licha piastujesz tak czule?  
Może to owa kura schowana w bibule?

JAKUB (*cofając kwiaty*).

Aj! aj! panie majorze—kwiaty dla panienki!  
(*uchylając papier*).

Na to się patrzeć tylo, a nie tknąć do ręki,  
Takie te figle kručze—a kosztują panie,  
Chłopskie dziecko rok cały chlebby jadło za nie.

MAJOR (*gniewnie*).

Bajesz, stary gaduło, bajesz jak na męce!

JAKUB.

Jużcić że baję, a tam spieszy się panience.  
(*wychodzi*).

## Scena XI.

MAJOR i KAŹMIRZ.

KAŹMIRZ.

Cóż majorze? słyzałeś co ten wiarus stary  
Powiedział, w swoim prostym poczuciu ofiary,  
O owych pięknych kwiatkach, któremi się stroi  
Wpół-francuzkich salonach skroń polskiej dziewoi?  
To był chleb dla głodnego chłopskiego dziecięcia,  
To ta kropla nauki, co do wniebowzięcia  
Przebudziłaby może duszyczki uspione!...  
I to niewiasty nasze, majorze, to one!

MAJOR (*zakłopotany*).

No tak... ale bo widzisz, trudno to dziewczynie...

KAŹMIRZ.

Mysleć o takich fraszkach w balowej godzinie...  
Wiem, wiem o tém majorze—żądałem za wiele,  
Już więcej się do takich rojeń nie ośmięle,  
I zamknawszy je w piersiach, pójdę drogą moją.  
Niech nam panie tańczują, niech się pięknie stroją,  
A świat krzyczy, że młodzież zimna i zepsuta.

MAJOR.

Tfu, mój chłopcze! cóż znowu za szyderska nuta.

KAŹMIRZ.

Majorze! ja co teraz tak gorzko się śmieję,  
Przed chwilą, gdy mnie słodkie uniosły nadzieje,  
Zapłakałem jak dziecko łąką świętą i czystą,  
A łąka gdy na kwiat rosą opadła srebrzystą,  
Posłałem jej go w darze, ten różany kwiatek.  
Ale to był za skromny, za ubogi datek,  
Bo paniom naszym trzeba świetniejszej korony,  
Niż kwiat domowy, ręką miłości spleciony!..

MAJOR.

Ależ bo konsekwencye ciągniesz jak jurysta.

KAŹMIRZ.

Nie majorze, rzecz smutna, ale oczywista,  
Że gdy beżmyślna lekkość, gdy próżność czy pycha  
Kobięty torem zbytku grzesznego popycha,  
Młodzież, która przed sobą świętsze widzi cele,

Nizli garnięcie złota na szału wesele,  
Młodzież ta dziś na mężów dla nich za uboga...  
A choć ciężko, samotnie pójdzie nasza droga,  
Ha! cóż robić?... miłości naszej im za mało...  
Widziałeś—na balowy wieniec jej nie stało!...  
(*W czasie ostatnich słów Kaźmirza, Helena w przejrzystej, srebrnymi gwiazdami usianej sukni, z bukietem kamelii we włosach i u piersi, wchodzi z lewej strony*).

## Scena XII.

Ciż i HELENA.

HELENA (*wesoło podbiegając ku majorowi*).

Pan major dziś wyczekał się kochanki swojej.

MAJOR (*markotnie*).

Bo kochanka godzinę przed zwierciadłem stoi.

HELENA (*pieszczolliwie*).

Proszę, proszę mnie dzisiaj nie łącać majorze.  
(*patrząc na Kaźmirza*).

Ja dla pana majora chcę być piękną może.

MAJOR.

Oj, na ten raz, filutko, pewno ci uwierzę...

HELENA.

No, no, niechaj pan major tylko serca strzeże...  
Bo to dziś wielkie, bardzo wielkie święto moje,  
I we wszystkie godowe bogactwa się stroję...

KAŹMIRZ (*z cicha*).

W suknię z szychowych blaszek, skarby widać tanie,  
Lecz nie—szczęście żywota można sprzedać za nie...

HELENA (*obracając się wesoło*).

Co? co, panie Kaźmirzu? (*podając mu rękę*)

Dobry wieczór panu!

Czy pan jak Turek szepczesz sobie więsz koranu,  
Czy też życzenia dla mnie powtarzasz, jak wnoszę?..  
Ja dziś bardzo szczęśliwa—winszować mi proszę...

KAŹMIRZ (*zimno*).

Pani! ja nie wiem czego życzyć ci wypada.

HELENA (*z smutnym podziwieniem*).

Pan nie wiesz? samo przecież w dźwięki się układa,  
Co drży w piersiach, co w serca świętości się chowa.  
(*Kaźmirz milczy*).

HELENA (*niespokojnie*).

Panie Kaźmirzu! kiedy w ustach milkną słowa,  
Czasem... czasem wzrok dobre wypowię życzenie...

KAŹMIRZ (*z głębokim ukłonem*).

Pani! mnie nazbyt świetne oślniły promienie...

HELENA (*patrząc mu przenikliwie w oczy*).

Prawda!... Pan masz wzrok słaby... (*wstrząsa się*).

Dzisiaj mróz majorze...

MAJOR (*z pomieszczeniem*).

Owszem, śnieg nieco pruszy, odwilż będzie może...

HELENA (*uśmiechając się z wysileniem*).

Odwilż! to bardzo pięknie... (*przesuwając rękę po czole*)

Com ja mówić chciała?

Że śnieg pada — o sanna, to rzecz doskonała!  
Można się ślizgać, ślizgać (*obrywa bukiet u piersi*)  
można leciść sobie...

MAJOR (*patrząc na nią z politowaniem*).

Dziecię, kwiatów ci szkoda...

HELENA (*smutnie*).

Prawda! co ja robię?...

Popsułam sobie bukiet... (*z coraz mocniejszym rozrzewnieniem*)

Biędny kwiatku biały!

Twe listki jak marzenia młode obleciały,  
Opadły jak nadzieje, jak sny nieziszczone!

Biędny! zawczasie śnieżną wzięto ci koronę...

(*Chwyć się siada i zastania twarz rękami*).

MAJOR (*niespokojnie*).

Co ci, co ci to, dziecię? może wody? może...

HELENA (*zrywając się nagle*).

A wybornie! wybornie! myślałeś, majorze,  
Że ja płaczę po kwiatku? Oj głowa też, głowa!  
Cóż to, boleść czy zawód kobięcie rzecz nowa?  
I chcieć mnie wodą trzeźwić... tego już za wiele!..  
Ale, ale, zapraszam panów na wesele,  
Tylko niech się przybiore...

(*Chwyta leżące na stolczku kolie i usiłując zapiąć trzęsącemi rękami, szarpie je przy szyi, śmiejąc się szmatycznie*).

Ha! ha! jak się stroję!

Ha! ha! jak mi wesoło!...

PULKOWNIKOWA (*wpadając z prawej strony*).

Dziecko! dziecko moje!

(*Helena pada na ręce podbiegającego Kaźmirza, który unosi ją drzwiami na lewo. Zastona zapada*).

(*Dokończenie nastąpi*).

**ROZMAITOŚCI.**

W teatrze opery w Paryżu p. Lissajoux zaprowadził nowy sposób oświetlenia. W przyrządzie tym rura gazowa leży 0,80 metrów pod podłogą, i produkta spalania wychodzą na zewnątrz dwiema rurkami. Promienie światła skupia podwójny reflektor, którego przecięcie poprzeczne ma kształt konchy, i rozrzuca je na scenę przez otwór odpowiednio nachylony; matowe szkło przed tym otworem nie dozwala aby oko widziało światło wprost i było przez nie rażone. To urządzenie zabezpiecza suknie artystek od niebezpieczeństwa pożaru, a scenę od gorąca i wyziewów, równie artystom jak widzom szkodliwych, a nadto przyczynia się bardzo korzystnie do rozchodzenia się fali akustycznych od sceny ku publiczności; podczas gdy dawniej powietrze rozgrzewane owym szeregiem lamp, wywoływało w atmosferze przedsceną ruchy wietrzne, w rozlicznych i bezładnych kierunkach głoś rozpraszające. Również aktorowie lepiej są zewsząd widzialni, dla mniejszego wywyższenia przyrządu.

— M. Cassola przywiózł z wycieczki swojej w strefy równikowe mumią bardzo ciekawą. Wiadomo że Indianie ucinają głowy swym nieprzyjaciółom i robią sobie z nich ozdoby honorowe. Aby głowy te zachować i zmniejszyć stosownie, odbywają z nimi rozmaite manipulacje, balsamują je albo zasuszają i noszą na piersiach, jak gdzieindziej orderki. Głowa przywieziona akademii paryskiej ma włosy piękne, wygląda w ogóle bardzo dobrze, a twarz zachowała swe rysy.

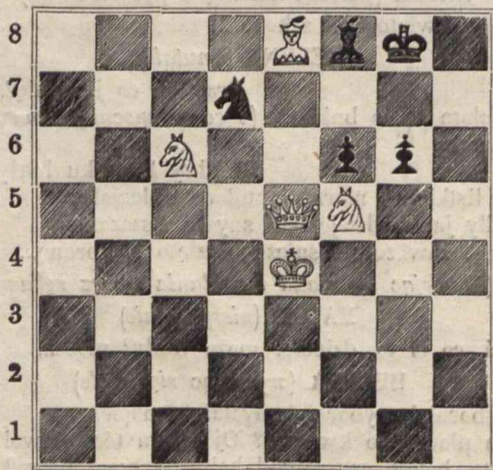
**SZACHY.**

**ZADANIE LXXXIV.**

(Z. Rosenthal z Suwałk).

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 83.

Białe.

Czarne.

- 1) B7 — B6+
- 2) B6 — B8+
- 3) E8 — C6 białą+
- 4) F6 — F8 białą+
- 5) A4 — B6+
- 6) G7 — F8 białą (wieża)+
- 7) E6 — C7+
- D7 — C6 białą.
- D8 — B8 białą.
- B8 — B7.
- F2 — F8 białą.
- C7 — B6 białą.
- D6 — B8.
- B5 — C7 białą+mat.

**Sekstet staropolski w kapeli społecznej.**

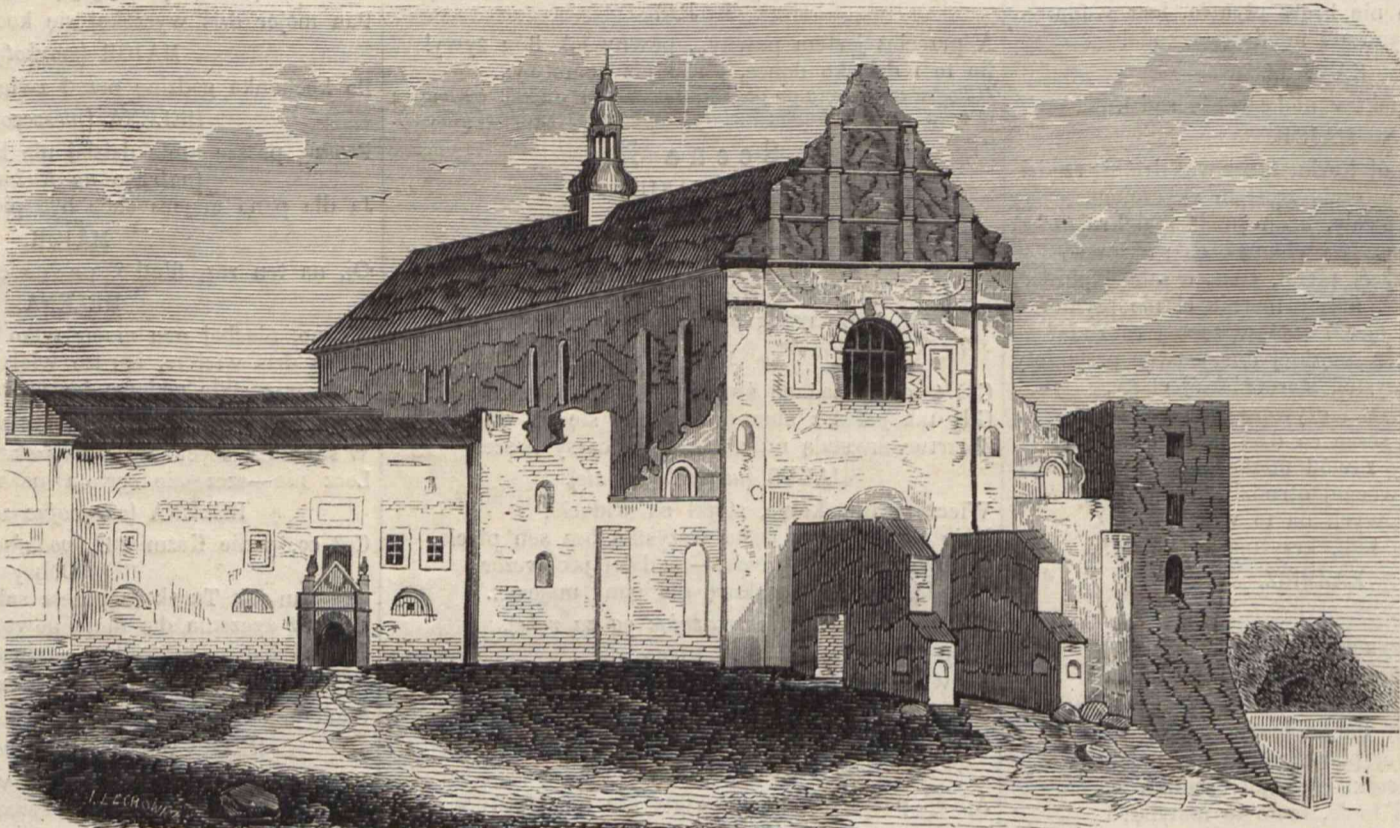
I.

*Próżne rzeczy i niepotrzebne:*

- 1) Ślepego mruganiem wabić, lub kiwaniem wołać.
- 2) Gadać z głuchym człowiekiem.
- 3) Pić z próżnego naczynia.
- 4) Uprawiać rolę nieplodną.
- 5) Liczyć wodne krople.
- 6) W lesie łowić ryby.

II.

- 1) Wiatr w skrzyni zamykać.
- 2) Łysego golić.
- 3) Wodą gasić promień słoneczny.
- 4) Kozła doić.
- 5) Nasie-



KOŚCIÓŁ PO-FRANCISZKAŃSKI W PIOTRKOWIE. (Rysował na drzewie Polkowski).

Niewszystko sobie pozwalać czynić, choć możemy.  
6) Niewszystko chcieć i napięrać się, co się upodoba.

**KOŚCIÓŁ PO-FRANCISZKAŃSKI W PIOTRKOWIE.**

Starożytny gród trybunalski wieloma szczylił się świątyniami. Niektóre z nich dotąd są ozdobą miasta, te zaś co zostały opuszczone, otrzymały inne przeznaczenie, lub zupełnie zniknęły. Kościołów też i klasztorów zakonnych było tam dosyć, a między niemi i księza franciszkanie mieli także w Piotrkowie kościół obszerny, wspaniały i lubo na żydowskiem przedmieściu, w miejscu jednak najpiękniejszym wystawiony. Ciągnęły się przy nim obszerne zabudowania klasztorne, a poza niemi był piękny owocowy ogród, który słynął szczególnie z najwytworniejszych drzew i rozmaitych gatunków jabłek i gruszek. Stała ta budowla częścią w ostatnich latach 16, a częścią w 17 wieku; ukończoną bowiem całkowicie była w r. 1624 i dotrwała do roku 1820, po którym sami zakonnicy, z powodu szczupłości funduszy, opuścili ją, przenosząc się do Radomska.

nie rzucać w morze. 6) Babę starą naganiać do tańca.

III.

*Tych sześciu rzeczy trudno wymaleć:*

- 1) Prawdy u hipokrytów.
- 2) Wiary u pochlebców.
- 3) Trzeźwości u pijaków.
- 4) Pieniędzy u rozrzutnych.
- 5) Mądrości u głupiego.
- 6) Cnoty u leniwego i ospałego próżniaka.

IV.

*Sześciu rzeczy do użytku i pozorów upatrują:*

- 1) Powietrza zdrowego
- 2) Miejsca wysokiego.
- 3) Miasta blizkiego.
- 4) Domu wygodnego.
- 5) Sąsiada szczerego.
- 6) Przyjaciela sławnego.

V.

*Te sześć rzeczy są zgubą inszym:*

- 1) Psy zajacom.
- 2) Koty myszom.
- 3) Lisy kurom.
- 4) Wilcy baranom.
- 5) Bociany zabom.
- 6) Zalotnicy swoim przeciwnikom.

VI.

*Te sześć rzeczy przeciwne są przyrodzeniu:*

- 1) Nadobna dziewczyna bez kochania.
- 2) Jarmark bez złodziejów.
- 3) Stary lichwiarz bez pieniędzy.
- 4) Młodzian bez wesołości.
- 5) Spichlerz stary bez myszy.
- 6) Kozioł stary bez brody.

VII.

*Tym sześciu rzeczom pomnij nie dawać wiary:*

- 1) Białogłowie wielomównej.
- 2) Szlachcicowi pokornemu.
- 3) Cudzem koniowi.
- 4) Słudze chwalcemu się.
- 5) Brzegom poderwanym.
- 6) Cudzem psu.

VIII.

*Te sześć rzeczy pokazują zły zarząd w każdym mieście:*

- 1) Skarbiec próżny.
- 2) Ratusz spustoszały.
- 3) Szkoła bez drzwi i z wybitymi okny.
- 4) Rynek nieczysty i nierówny.
- 5) Zegar nieregularnie bijący godziny.
- 6) Mieszczanie pijacy.

IX.

*O te sześć rzeczy nie trzeba się pytać, ani być o nie ciekawym:*

- 1) O gospodarstwo w cudzym domu.
- 2) O rządy Boskie.
- 3) O pokarm ryb morskich.
- 4) O rady wielomównych chudzinie.
- 5) O skierowanie w inną stronę wiatrów.
- 6) O miłości starego.

X.

*Sześć rzeczy które zdrowie i pokój każdemu zachowują:*

- 1) Czyste sumienie
- 2) Niewszystkiemu wierzyć i uważać co się od kogo słyży.
- 3) Niewszystkiego się zwierzać i powiadać co się wiedzieć może.
- 4) Niewszystko zaraz sądzić i potępiać co rozumiemy.
- 5)

Z opuszczonego kościoła wyjęto kamienną posadzkę i nagrobki, przenosząc one do kościoła dominikańskiego, a w pozostałych murach urządzono najprzód policyjne więzienie, później zaś przeznaczono je na miejsce reprezentacji dla trup teatralnych niekiedy tu przebywających. Część zabudowań klasztornych przemienioną została na szpital, reszta pustkami stoi. Kościół ten i klasztor, pomimo znacznego zniszczenia, zdrowe są w swych murach i mogłyby jeszcze łatwo być do dobrego stanu doprowadzonymi.

**REBUS.**



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 107.  
Często życie gorzej od śmierci smakuje.